

Marek Jastrzęb

Po-ranne noce (4)

Spolecznych, egzystencjalnych, kulturowych. Broni się, wszczepiając sobie w twarz odpowiednie grymasy, akuratne wyglądy, słusne skóry i stosowne maski. Używa kuglarskich min, by nie dać się zaprząć do chodzenia na modnym pasku, po wytyczonych ścieżkach, by uniknąć wizerunku pisarza wzorowego, porządnego, wypłukanego z wad i uczesanych postaw.

Nie pragnie poruszać się po świecie sposobem pompacyjnym i pryncypialnym, w dętym namaszczeniu i na sardonicznej modłę; chce być sobą, bo bycie sobą, bycie rozpoznawalnym JA, to wstęp do bycia artystą: razem z nieznośnym dobrodziejstwem inwentarza.

Nie jest kopistą artystycznych wypowiedzi, nie fabrykuje więc swoich tekstów według pigularskich, matematycznych, przesadnie semiotycznych recept. Nie pisze na obstatunek doraźnej chwili, dyspozycyjnym, lokajskim i skwapliwym piórem, jak pastwicy się nad nim doktrynerzy, marudni poloniści uprawiający sabaty nad jego utworami, owe sztywniacko-poprawnościowe wygibasy tępych belfrów w rodzaju ferydurkowego profesora Pimki; tworzy sobą, bo, jak mawiał Flaubert: pani Bovary, to ja.

Jest sobą, człowiekiem pojedynczym czyli kwintesencją uczciwości swoich zdań. Nieocyszczonym z kompleksów, skaz i zalet.

I dopiero wtedy ma przekonanie: jest artystą całkowitym. A ponieważ wszystkie te właściwości są składowymi częściami artysty-arystokraty, to skumulowane w jedną, przepuszczone przez jego osobowościowy filtr, oferują nam, pożeraczom codziennego chleba, tekst godny miana arcydzieła.

Niestety, wedle słów Gombrowicza, artystów piszących sobą, jest niewielu. Nielicznych stać bowiem na niewymuskaną odwagę pisania pod prąd, wbrew utartym gustom, na przekór konwencji i przyzwyczajeniom do usypiającej rutyny.

Poglądy Gombrowicza na sztukę są niekiedy mocno krzywdzące.

Lecz artysta jest usprawiedliwiony okolicznościami, które skłaniają go do ferowania tak radykalnych wyroków. A usprawiedliwieniem tym jest jego emigracja; od 1938 roku gości poza krajem. W Argentynie zastaje go II Wojna Światowa i już nigdy nie wraca do Polski (umiera we Francji w 1969 roku). Zresztą po wstała po wojnie karykatura kraju zniechęcała raczej, aniżeli kusila go do powrotu.

Przed wojną mówiło się o nim. Czasem w

superlatywach, czasem z kompletną nieznamonością rzeczy, ale choć kontrowersyjny i sprawiający recenzentom kłopoty, to przecież był publikowany, wydawany, dyskutowany.

Inaczej w Kraju Pampasów, gdzie zaczyna od zera; przekształca się z autora głośnej powieści Ferdurdurke w nieznanego, początkującego debiutanta na literackim dorobku i powoli wyrabia sobie markę: pisze felietony, eseje recenzje do tamtejszej prasy.

Uparcie pracuje nad sobą i wreszcie dobiża się uznania. Lecz jako neurotyk, nie cierpi ustabilizowania: nudzi go tutejsza martwota artystycznego środowiska, zatem wyjeżdża do Francji, jednak obcy tam, skąd wyjechał i nietutejszy tu, dokąd go przywiało, nie może sobie znaleźć miejsca.

W Ameryce Południowej nie istnieje tak, jak na to zasługuje, w PRL. jest na indeksie, ima się więc nowej pracy: znowu pisze felietony, eseje, recenzje, następane powieści, publikuje i wystawia dramaty, kontynuuje Dziennik, który emituje Radio Wolna Europa.

Parę lat temu czytałem „Dzienniki” Gombrowicza, aż mi uszy się trzęsły. Chłonałem i topiłem się w nich. Cały czas myślałem z rozpaczą, dlaczego dobry Bóg nie obdarzał każdej generacji polskiej przynajmniej trzema Gombrowiczami. Dlaczego tak mało cudów, wiatrów, trąb powietrznych, piorunów kulistych pod naszym niebem intelektualnym? Dlaczego tam świeci zawsze zapyziałe, anemiczne, słabo grzejące słońeczko z elementarzy? Słońeczko, które grzeje słabo wierzby przydrożne, kościółek drewniany, ранnego ulana, siejącą rutkę pannę i dobrego pana starostę? Więc żarłem tego Gombrowicza i oczy wylazły mi z orbit. Kochałem tego Gombrowicza, kabotyńskiego Michała Archaniola z mieczem szyderstwa w dłoni, co ganiał polskich kabotynów po polskim niebie. Tak się zachwyciłem, że w stanie kataleptycznym runąłem na jego powieści i dramaty. Ale tam jakoś odpadłem.

Zamiast flaków, bebeczów, gotującej się krwi, znalazłem zimną laubzegę. Usłyszałem cichy poświst laubzegi wypływającej popisowe wzory. Nie, nie, Boże broń, nie szargam wielkiego świętego Szargacza.

Chcę tylko doradzić: czytajcie najpierw jego prozę, a dopiero później, jak najpóźniej, może przed samą śmiercią sięgnijcie po „Dzienniki”. On pierwszy kolnął w zadek

Wielkiego Kabotyńca. On nam wyrysował tę postać, jak w policyjnym liście gończym rysuje się domniemany portret przestępcy. On pierwszy Przeciął i wypuścił cysternę złej krwi i chorobotwórczej flegmy. On wywabiał z niewidzialności tę żalostną figurkę z krakuską i pawim piórem na głowie.

T. Konwicki, „Kalendarz i klepsydra”

Argentyna, w której po prawie dwudziestu latach dochrapał się jako takiej akceptacji i względnej popularności, zaczyna go mierzić; za wiele czasu upłynęło od pierwszego, ośmioletniego okresu biedowania, głodowania, pomieszkiwania w pokojach umeblowanych nędzą. Dostyc ma też następnych siedmiu lat urzędniczej stabilizacji: pracy w banku i życia na obczyźnie, wegetowania pozabawionego celu, rozpaczy poznawania ludzi, których nie interesował i którzy jego nie fascynowali.

Pogardza tamtejszą emigracyjną konserwą, zapyziałymi polonusami o wielkopańskich manierach, ich sampokrzepiającym się patriotyzmem, z którego natrzęsa się niemiłosiernie; z przyjemnością graniczącą z udęciem.

Nie cierpi miernych literatów o wyśrubowanych aspiracjach i minimalnych zdolnościach, stroni od nadętologii w wykonaniu strasznych mieszczan rozpacyjnych nad filizankami kawy z domieszką komicznej godności, żarliwie perorujących o niczym.

Drażnią go ziemiańskie towarzystwa, ich wzniosła parafianiszczynna, monotematyczne, infantylnie drętwe i jałowe dysputy o niegdyśszych majątkach, genealogiach czy przefurjowanej zamożności. Poza wspólną niedolą emigranckiego losu nie łączą go z nimi żadne inne względy.

Wyalienowany jako pisarz, obarczony przymusową obsesją niszczenia innych twórców, traktowania ich jak wrogów, targany walką ze swoimi wizerunkami, z tysiącem własnych, okolicznościowych twarzy, trzyma się młodych twórców, twórców in spe; na razie wolnych od bakcyła snobizmu. Lecz i oni nie mają pojęcia, kim jest.

Bytuje w środowisku ząbkujących artystów uchodząc wśród nich za proroka, guru, niepośledniego wybitnego. Ale otoczenia te, choć początkowo bawią go i jakkolwiek uwielbia je zaskakiwać, wpędzać w zażenowane konfuzyje – są zbyt kołtuńskie i zanadto

(Dokończenie na stronie 4)